

OCALONY Z HOLOKAUSTU

Gdy wybuchła wojna, miał dziewięć lat. Urodził się 27 stycznia 1930 r. w spolonizowanej rodzinie żydowskiej. W domu mówiło się wyłącznie po polsku. Jego ojciec – Adolf Klapper był prokurentem Zakładów Sodowych „Solvay” w Borku Fałęckim (obecnie część Krakowa; w tej fabryce podczas okupacji pracował młody Karol Wojtyła); mama – Stefania (z domu Blaustein) zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem trójki dzieci, w czym pomagały jej nianie Kazia i Gienia. Mieszkali w Borku w domach fabrycznych, które do dzisiaj stoją tuż przy szosie zakopiańskiej, a w 1938 r. przenieśli się do Krakowa.

Janek od dziecka czuł się zawsze Polakiem. Kibicował „Cracovii”, do dziś pamięta transmisję radiową meczu Polska–Brazylia na mistrzostwach świata. Chodził do prywatnej szkoły powszechnej na ul. Potockich (po wojnie mieścił się tam konsulat ZSRS). W domu kultywowano tradycję mojżeszową, a dzięki nianiom – polskie zwyczaje katolickie.

Kiedy wojska niemieckie zbliżały się do miasta, 3 września 1939 r. matka zdecydowała się na ucieczkę wraz z synami do Lwowa, skąd pochodziła, natomiast ojciec pozostał w Krakowie. Gdy Niemcy odступili od Lwowa i 22 września weszli tam Sowieci, zaczęła się dla nich „nowa era”. Mieszkali jako „bieżeńcy” na Jabłonowskich, a mały Janek chodził do szkoły na Zyblikiewicza. Do wojny skończył dwie klasy, ale Sowieci uważali, że ich system edukacji stoi wyżej i cofali polskich uczniów o jeden poziom.

W czerwcu 1940 r. zjawili się enkawudziści i zabrali na Dworzec Stryjski mamę i dwóch synów, żeby wywieźć ich w głąb Kraju Rad. Pani Klapper nie chciała bowiem poddać się paszportyzacji przeprowadzanej przez władze, została więc potraktowana jako element podejrzany. Najstarszy (ur. w 1915 r.) przyrodni brat Alfred pracował wtedy w „George’u”, eleganckim hotelu lwowskim, gdzie zjeżdżała sowiecka wierchuszka. Akurat wtedy przebywał tam pisarz Aleksiej Tołstoj i interwencja u niego okazała się skuteczna; przyjechali zisem 110 na stację, wyciągnęli z wagonów i przywieźli z powrotem do domu. Oczywiście po tej przygodzie pani Klapper wzięła sowiecki paszport i została sowieckim „grażdaninem”.

Sytuacja zmieniła się po zajęciu Lwowa przez Niemców 29 czerwca 1941 r. W połowie lipca Ukraińcy z nadzorującymi ich gestapowcami urządzili w mieście pogrom; wyłapywano Żydów na ulicach i w domach. Z mieszkania wyciągnięto matkę Janka i jego średniego brata (ur. w 1921 r.) Rudolfa; wszelki ślad po nich zaginął. Najstarszego brata nie znaleźli, bo akurat w innym pokoju grał w brydża, a najmłodszym chłopcem jakoś się nie zainteresowali.

Zaczął się okres częstych przenosin z mieszkania do mieszkania. Wkrótce powstała dzielnica żydowska – getto przy ul. Janowskiej, początkowo jeszcze nieogrodzone. Janek pozostawał tam pod opieką brata do Bożego Narodzenia 1941 r., kiedy brat wsadził go – nie wiadomo, jakim sposobem, może zapłacił kolejarzom? – do pociągu sanitarnego z rannymi na froncie wschodnim żołnierzami niemieckimi. W Krakowie odebrała Janka niania Kazia – Katarzyna Żołna, która wynajmowała pokój u gospodarzy w Borku Fałęckim.

Ojciec w tym czasie mieszkał już w krakowskim getcie. Z mieszkania przy pl. Kossaka 1 – naprzeciwko Wawelu – został natychmiast wyrzucony jeszcze na początku okupacji, ta część miasta stanowiła bowiem dzielnicę niemiecką. Nie mógł być dalej zatrudniony w „Solvayu”, ale fabryka wypłacała mu normalną pensję i zaopatrzyła w niezbędne dokumenty. Mógł więc opuszczać getto i często odwiedzał syna. Jeszcze było to możliwe, ale na wszelki wypadek Janek zbytnio nie pokazywał się sąsiadom. W maju 1942 r. podczas akcji częściowej likwidacji getta Niemcy zabrali ojca i prawdopodobnie wywieźli do któregoś z obozów zagłady.

Do września 1942 r. Janek przebywał u Kazi; ze Lwowa dotarła wiadomość, że zginął również jego najstarszy brat. Chłopiec został sam. Tymczasem gospodarze pod Krakowem zaczęli się bać przechowywania Żyda. W tej sytuacji Janek przeniósł się do getta, do znajomych swoich rodziców. Egzystował tam dzięki ich pomocy i pomocy żywnościowej Kazi, trochę też zarabiał na życie sprzedażą papierosów na sztuki; dostarczał je policjant żydowski, który przychodził do jednej z córek opiekunów Janka. W październiku 1942 r. tenże policjant, przed kolejną akcją likwidacyjną, wyprowadził chłopca z getta. Nie miał się jednak gdzie podziać, kompletnie obcy w rodzinnym mieście; nocował na Plantach, Kazia przywoziła jedzenie, włóczył się po ulicach. Później znów wrócił do getta, gdzie przebywał do połowy marca 1943 r., tj. do całkowitej jego likwidacji. Pod nadzorem Niemców ustawiano w szóstki pochód mężczyzn do obozu w Płaszowie; jeden z esesmanów zauważył małego chłopca, złapał go łagą za szyję, dał kopa i wrzasnął „raus!”, dzięki czemu Janek pozostał w getcie. Działy się tam wówczas dantejskie sceny; jeden wielki krzyk i płacz rozdzielanych dzieci i matek. Janek patrzył na to, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. W tym czasie furmanki wywoziły żydowskie rzeczy do Płaszowa; jeden z woźniców kazał mu wskoczyć na wóz, nakrył betami i wywiózł z getta. Taki miał odruch serca. Za murami getta przystanął i powiedział „Wyskakuj”.

Janek po raz kolejny nie miał co ze sobą zrobić; Kazia nie mogła go nigdzie ukryć, a poza tym chłopiec nie posiadał żadnych środków do życia. Pomyślał wtedy o adresie, który wcześniej – na wszelki wypadek, żeby był jakiś kontakt – przysłał wuj (brat matki) mieszkający w Warszawie u swego kolegi z wojska i zarazem szwagra – Piątkowskiego. Ludzie początkowo jeszcze myśleli, że te prześladowania kiedyś się skończą i wróci normalne życie; nie było absolutnie żadnej świadomości zagłady.

Kazia dała adres wujka, kupiła peronówkę i nocnym pociągiem w tłumie szmuglerów Janek przyjechał do Warszawy – po raz pierwszy w życiu. Od razu złapali go szmalcownicy; zrewidowali, rzecz jasna, nic nie znaleźli, więc odstawili na posterunek policji granatowej w Al. Jerozolimskich. Tam sprawdzili, czy jest Żydem, i „won!”, wyrzucili chłopca z komisarjatu. Poruszając się po mieście jak goniony zając, trafił wreszcie na ul. Odolańską. U Piątkowskich mieszkała kuzynka chłopca, wprowadzie niemająca rysów semickich, ale nielegalnie, a wujek był gdzieś dobrze schowany; w tej sytuacji trzeba było szukać innego lokum. Wtedy też otrzymał fałszywą metrykę na nazwisko Jan Karpiński, które nosi do dzisiaj.

Od marca 1943 do sierpnia 1944 r. Janek zaliczył pięć adresów. Mieszkał m.in. na Mokotowskiej 41, w pensjonacie „Pod Różami”, który prowadziła pani Roszkowska. Złapany przez policję obyczajową, został zidentyfikowany jako Żyd. „My tu później przyjdziemy po ciebie” – zapowiedzieli, ale nie przyszli i znów ocalał. Lecz miejsce było już spalone. Poznał tam małżeństwo żydowskie Żurawickich; kobieta pracowała jako praczka w hoteliku, a mąż (po wojnie znany profesor UW) ukrywał się w przemyślny sposób, pracując jako dekarz na dachach kościołów.

Janek zamieszkał u nowej rodziny na Siennej, gdzie były mama, ciocia i córka; ta dziewczyna została później jego żoną. Olga – z pochodzenia Rosjanka, nazywała się Szyszmołkina; jej ojciec był białym oficerem. Kobiety pracowały jako gospodynie na Sienkiewicza 2, naprzeciw Poczty Głównej, gdzie pokoje zajmowali niemieccy urzędnicy pocztowi; nota bene ciocia przechowywała w tym mieszkaniu, pod okiem Niemców, Żydów – dr. Szczypiorskiego z żoną, u rodziców której ciocia przed wojną pracowała jako gospodyni.

Na Siennej zastał ich wybuch Powstania. Przenieśli się wówczas do solidniejszego domu na Sienkiewicza, przy pl. Napoleona. Janek znalazł się w oddziałach pomocniczych. Gdy trwały walki o gmach Pasty, nosił amunicję, bańki z benzyną, z wiadrem wody gasił pożary,

Jan Karpiński w 1951 r. ukończył Liceum im. Stanisława Staszica w Warszawie, w latach 1951–1956 studiował na Wydziale Transportu Samochodowego Moskiewskiego Instytutu Inżynieryjno-Ekonomicznego. Należał do ZWM, ZMP i PZPR. Pracował w PKS i dyrekcji Hartwiga; w 1969 r., w wyniku nagonki antysemitkiej, wyemigrował do Szwecji, w 1990 r. powrócił do Polski. Mieszka pod Warszawą. Jest członkiem Stowarzyszenia „Dzieci Holokaustu”.

m.in. na Mazowieckiej. Po drugiej stronie Al. Jeruzolimskich spotkał znajome małżeństwo z pensjonatu „Pod Różami”; gdy nastąpiła kapitulacja, namówili oni Janka i Olę, by nie wychodzić z Warszawy.

Zostali w gruzach na Sienkiewicza 2, mieli już broń. Dom był zrujnowany, ale zachowały się ciepłe piwnice. W dzień ukrywali się jednak na trzecim piętrze w wypalonym mieszkaniu, do którego można było się dostać tylko po belkach stropowych, bo schody nie istniały. Bojąc się wykrycia przez psy niemieckie, rozlewali śmierdzący olej pokostowy, który służył w okresie Powstania do smażenia placków jęczmiennych (jęczmień od Habermuscha, olej z fabryki pasty do obuwia). W każdym razie Niemcy ich nie wykryli, chociaż byli w piwnicach w poszukiwaniu rzeczy godnych wywiezienia do Rzeszy.

Nocowali w piwnicach, a do swojej kryjówki na piętrze wychodzili przed świtem. Pewnego dnia, w drugiej połowie października 1944 r., Janek zaspał. Gdy wyszedł z piwnicy, zobaczył przed sobą niemieckiego żołnierza. Na szczęście Janek nie próbował wyciągać pistoletu. Niemiec popatrzył i poszedł. Najprawdopodobniej żołnierz ten zawiadomił RGO w domu towarowym „U Jabłkowskich”, a następnie sprowadził Polski Czerwony Krzyż, który kazał się im wynieść poza stolicę. Olga z mamą i ciocią zamieszkały w Piastowie, ale trzy osoby nadal ukrywały się w ruinach, w tym Janek. Olga, w ramach akcji kopania okopów, była potem raz w Warszawie i nawet odwiedziła Janka w jego schronie, sprawdzając, czy żyje. Przetrwali tam do 17 stycznia 1945 r. Nocą wychodzili szukać jedzenia, przebierać się w czyste ubrania, bo wszy atakowały. W aptece przy Sienkiewicza 4 znaleźli beczkę spirytusu i w nim zaczęli się myć; okazało się, że wszy tego nie lubiły. Wodę brali z wykopanego przez Niemców na środku pl. Napoleona basenu przeciwpożarowego. Przez kilka miesięcy odżywiali się tylko zupą fasolową, bo znaleźli zapas fasoli.

Rano 17 stycznia przez otwory okienne zobaczyli, jak po ruinach idzie człowiek z karabinem i opaską; poczekali do zimowego zmierzchu i wyszli na rekonesans, Świętokrzyską do Marszałkowskiej. Tam zobaczyli wojsko polskie – wojna dla nich się skończyła.

Opracował Andrzej W. Kaczorowski

Od redakcji:

W „Biuletynie Instytutu Pamięci Narodowej” 2009 nr 3 (98), poświęconym Polakom ratującym Żydów w czasie wojny i okupacji, na stronach 77–82 opublikowaliśmy artykuł Mateusza Wyrwicha *Obcy we własnym mieście*. Autor przedstawił w nim losy trzech osób ocalonych z Holokaustu. Dwie z tych osób – panowie Jan Karpiński i Tomasz Prot – zgłosiły redakcji, że w tekście są błędy. Pan Tomasz Prot uznał, że w części dotyczącej jego osoby znalazło się kilka nieścisłości, które nie zmieniły zasadniczej wymowy opowieści o jego losach. Odmiennego zdania był pan Jan Karpiński, dlatego zdecydowaliśmy, że najlepszą formą zadośćuczynienia będzie opublikowanie powyższego, autoryzowanego wspomnienia. Obu Panów przepraszamy za zaistniałą sytuację.